

Andrzej Walter

Co się stało z literaturą?

Ten tekst będzie przykry. Tekst ten będzie też publicznie niepoprawny. I będzie niepokoił. Zapewne jedynie nielicznych. Może dotknie jakiejś prawdy.

Analfabeci wszystkich krajów łączcie się!

Oj, tak, tak, stara marksistowska szkoła wiecznie żywa. I te nawyki postzimnowojenne, zimnowojenne czy też spadek po słusznym minionym wieku, co to ów wiek nowy, obecny widzi jedynie i wyłącznie w krzywym zwierciadle. Choć ja doprawdy nie wiem czy jest to tylko krzywe zwierciadło czy jednak skrzecząca rzeczywistość i nasza codzienność.

Stan czytelnictwa na świecie jak i w Polsce oraz nie oszukujmy się, jego pokłosie w postaci nieumiejętności wtórnej czytania i pisania, co skutkuje ukrytym półanalfabetyzmem rozprzestrzenia się bowiem nieuchronnie od Kalifornii po Kamczatkę i możemy jedynie zachodzić w głowę, gdzie „tutaj” jest lepiej albo „tam” gorzej, a tak realnie wszędzie jest tak samo i to niemal po równo. Z przodu gównno, z tyłu gównno. Żałośnie jak we frontowej latrynie, w której kapral H obmyśla swoją „walkę” o przestrzeń życiową.

Lud dziś go przerósł, nie potrafi skleić poprawnie kilku zdań. Napisać prostego listu, podania nawet, czy prostej odpowiedzi na „krótką wiadomość tekstową”. Płynię to z ekranów, głośników, mediów i przekazów wszelakich, sączy się z tekścików pseudorecenzji choćby „krytyków” filmowych – czytaj naganiaczy dystrybucji tych produkcji łopatologicznie stosowanych propagandowo spod znaku Netflix’a czy innej papki oglądalstwa wszelakiego. Wyłazi z każdego zakątka popkultury wrastającej w nasz krwiobieg i poczynającej rządzić kategoriami i hierarchiami. Gangrena obejmuje coraz większe obszary i zatruwa tkankę społeczeństw. Wierni, niczego nie czytający (z „braku czasu”) oglądacze tej masówki głupieją na potęgę i wszelaka rozmowa z nimi kończy się smutną refleksją, a dam sobie spokój z tym niby dialogiem, gdyż ich „poglądy” nie wyrastają ponad spór o Kamińskiego z Wąsikiem, oraz zagadki gdzie podział się Ziobro.

Sprawy jakieś większe, ogólnoswiatowe, geopolityczne, istotnie mogące wpływać na nasze (i wasze przecież) życie zostawmy sobie, a muzom, gdyż tak sformułowany widz (choćby słynnego już serialu paszkwilu „1670”) niewiele z tego zrozumie i pojmie skoro nie zastanawia się nad żadnym przekazem tylko go chłonie i przetwarza na tak zwane „własne poglądy”.

Każdy oto dziś ma „własne poglądy” i ma do nich pełne prawo. Czytać też nikt niczego nie musi, nawet dzieci w szkołach są

odciążane od ciężkich lektur niczym od pracy (mózgu) w kamieniołomach wyobraźni. Mamy wolność i demokrację, a że już za chwilę możemy nie mieć ani wolności ani demokracji (a nawet ich karykatur) – cóż tam, po nas choćby i potop. Oplujmy zatem wszelkie wzorce i dogmaty na naszym rodzimym podwórku, zwłaszcza te z przeszłości świadczące o naszych korzeniach, a to dla przykładu piórem pewnego śląskiego literata, czy choćby chętnie i ochoczo wspomagając się autorytetem noblistki. No proszę, znowu od popkultury doszedłem sobie do literatury. Tyle że prawdziwej literatury już dzisiaj nie ma, a to, co pozostało poszło w kryminalną bądź sensacyjną nieprawdziwą opowieść o świecie, którego tak naprawdę nie ma, albo równie do-
odnie – nigdy wręcz nie było.



Rys. Sławomir Łuczyński

Nie ludźmy się. Nawet nobliści są dziś nieczytani albo czytani pobieżnie, aby można się było „w towarzystwie” pochwalić i błysnąć, że coś tam wiem, znam, czytałem i rozprawiam obficie. O poezji przez grzeczność nawet nie wspomnę. Nie kopmy leżących. Literatura dziś, ta zalegająca resztki księgarń, ta służąca za podstawę współczesnych scenariuszy i ta będąca wzorcem i wyznacznikiem mód i trendów nazywa się Remigiusz Mróz i tym podobne postprodukcje kupowane przy okazji zakupu e-dymka, podpasek i czasopisma Traveller oraz batonika Snickers, który pomoże ci przetrawić do zmroku dzień pełen korpoatrakcji albo nawet w przypiływie szaleństwa pozwoli kupić też komplet garnków

Zeptera do społu z zestawem kreatywnym dla twojej pociechy, która pomaluje twój świat na żółto i na niebiesko. Kolory wedle sentymentu albo zachcianki. Mogą być tężowe.

Oczywiście są jeszcze książki warte grzechu i lektury. W kazamatach sieci i w niszo-
wych księgarniach odnajdziecie literaturę spod znaku Prusa i Gombrowicza, czy nie przymierzając Libery z Koprowskim, ale jak to odnaleźć, kupić i dotrzeć do tych rarytasów dla tych golasów groszem nie pachnących i na nartach w Dolomitach nie śmigających? Oto jest pytanie? To pytanie hamletowskie, tragiczne i jętrzące, pytanie żałośnie, pytanie dla resztek intelektualistów spod znaku minionego świata. Pytanie smutne i nieuchronnie stawiane pod skórą w potopie szmiry i kiczu podawanych na tacy rozrywki wartej... zobaczenia i zapomnienia. Znowu tutaj kłania się Netflix z adaptacją prozy współczesnej, przez grzeczność nie wymienię tytułu, w której wszystkie postacie są: pokręcone doszczętnie, z ekranu kapie samo zło i deformacja, treści w tym żadnej, moralu też, jedynie eskalacja przemocy, seksu i topornego aktorstwa przewidywalnego do bólu i marnującego ów czas, którego przecież tak dziś brakuje.

Nastąpiła bowiem defraudacja czasu, katastrofa treści, upadek sensownej i logicznej narracji, zanik powagi, znaczeń i wartości opowiadanej historii w myśl reguły wszystko już było, a to co stwarzamy musi jedynie szokować i musi zająć uwagę ciut dłużej niż 30 sekund, bo inaczej widz ucieknie spod topora magnetycznej wizji. Tak się dziś nawraca mózgi na właściwe myślenie o świecie i ludziach, a potem dziwimy się kiedy znowu jakiś opętany Andres Braivik strzeli do nas jak do kaczek i stanie się on pierwszym wziętym celebrytą wynoszonym na piedestał oglądalności. Choćby i z za krat.

To, że Donald Trump bije kolejne rekordy popularności w Ameryce interesuje coraz mniejszą rzeszę ludzi, tudzież analiza sytuacji światowej oraz tego, że usiedliśmy na beczce z prochem interesuje już niemal mało kogo, a jakieś tam wizje Polski roznoszone przez świetnego wrocławskiego pisarza Szymona Koprowskiego interesuje może ze sto osób, co w ocenie ogólnej można uznać, że nie interesuje nikogo. Przecież już mamy innych spełniających się literatów – znanych i uznanych, ostatecznie wydawnictwa (oj, też marny ich los) wyłożyły na te rodzynki (smaczniejsze bądź mniej) setki tysiące dutków, to nie teraz nie szukajmy następnych, a poza tym nie wpiszą się oni tak idealnie i doskonale w tę smaczną wizję paskudzenia rzeczywistości, której ten światły lud łaknie przecież jak dżdżownica dżdżu w deszczowy dzień. No cóż. Potop nadciąga.

(Dokończenie na stronie 4)